

A. K. GREEN.

Dom pod szumiącymi sosnami.

(Ciąg dalszy).

16

— Bardzo to dla mnie nieprzyjemna historia, ale skoro ją muszę opowiedzieć... To było tak: Poszedłem prosto na Cuthbert Road, a stamtąd polami do klubu. Nie wziąłem ze sobą klucza od drzwi frontowych, ponieważ wiedziałem, że jest tam okno, które da się otworzyć z zewnątrz. Otworzyłem je tedy i poszedłem prosto do piwnicy. Swieciłem sobie własną latarką elektryczną. Wyciągnąłem kilka butelek i zaniósłem je do kuchni; a chciałem gaz zaświecić, ogień rozpalic i urządzić się wygodnie. Jednakże zaraz przekonałem się, że będę się musiał obejść bez światła, jeżeli zostanę. Gaz był odkręcony, a pić przy świetle elektrycznej latarki wcale mi się nie uśmiechało. A przytem — tu spojrzał na swego obrońcę, tak że ten się zmieształ na chwilę — posłyszałem jakieś niewyraźne głosy w domu, co mnie przestraszyło i zaniepokoiło. Wybraawszy butelkę z winem, które najlepiej lubiłem, poszedłem przekonać się, co to być może.

Mr. Moffet drgnął. Klient mścił się teraz. Utrzymywany w nieświadomości co do zamiarów obrońcy, wysuwał teraz zeznania, temu obrońcy nieznane. Nie wiedział, że chłopak taki jest przebiegły i drzałem teraz na myśl o tem, co z tego wyniknąć może. Zaniepokojenie było ogólne. Styszał jakieś głosy — przyznawał to. Ale co za głosy?

Widząc ogólne wzruszenie i rad może, że spłoszył ten niepożądany uśmiech z ust swego obrońcy, Artur dodał spiesźnie:

— Ale nie dokończyłem moich poszukiwań. Wyszedszy na scho y, posłyszałem to, co spłoszyło mnie odrazu. Był to głos siostry mojej, Adeli. Była w tym domu, na tem samem piętrze, stałem może o kilka kroków od niej, z butelką w kieszeni. Nie upłynęła minuta, a byłem już za oknem. Nie czekałem, zdziwiony, by ją zapytać, co tu robi i z kim rozmawia. Uciekłem poprostu i przedostałem się przez tereny golfowe do małego zajazdu na Cuthbert Road, gdzie już raz przedtem byłem. Tam wypilem moją butelkę, która tak mi poszła do głowy, że nie wróciłem do domu aż dopiero w południe następnego dnia. W drodze do domu powiedziano mi o strasznym wypadku, który stał się w klubie już po mojem wyjściu. To mnie otrzeźwiło. I już odtąd zawsze byłem trzeźwy.

Na usta obrońcy powrócił uśmiech. Wyglądał zadowolony. Sądzę jednakże, że nikt, oprócz mnie, nie zauważył tego. Wszyscy patrzyli na Artura. Wymawiając ostatnie słowa, podniósł głowę i spojrzał na sędziów prosto i otwarcie. Wyraz twarzy jego, siła przekonania w oczach, pomimo nieładnych rysów, robiły wrażenie.

Dziwne jednakże i prawdziwie niezrozumiałe było dziś stanowisko obrońcy. Możliwy mniemać, że umyślnie postanowił zacierać każdy ślad dobrego wrażenia, które nieszczęsny klient jego wywołać zdołał.

Ignorując podane fakty, zwrócił się do oskarżonego z następującem pytaniem:

— Czy nie zechciałby nam pan powtórzyć, ile butelek wina wyniosłeś pan z klubu?

— Jedną. Nie... nie jestem tego zupełnie pewien... niczego nie jestem zupełnie pewien. W każdym razie jedną tylko miałem ze sobą w zajeździe na Cuthbert Road.

— Jedną tylko przypomina pan sobie?

— Jedną tylko miałem. Jednej i tak było dosyć. I tak z trudem ją doniosłem.

— Czy grunt był śliski?

— Śniegiem pokryty i pełen wybojów. Potykałem się kilka razy, idąc przez tereny.

— Panie Cumberland, czy jest jeszcze może coś, coby pan chciał powiedzieć na swoją obronę, zanim ja skończę moje badanie?

Oskarżony, w ten sposób zapytany, popatrzył przez chwilę na przewodniczącego, potem na sędziów przysięgłych, a wkońcu na drobną, bladą twarzyczkę w tłumie, która wyteżała wzrok naprzeciw jego spojrzenia. A potem wyprostował się i spokojnym, zupełnie naturalnym głosem wymówił te proste słowa:

— Nic, oprócz tego, że jestem niewinny.

XXVI.

Nastąpiła pauza. Przewodniczący i ława ustąpili. Miałem sposobność pomówić słów kilka z Cliftonem. On mówił dużo, ja skąpy byłem w słowach. Musia-

łem ukrywać przed nim prawdziwy powód mego wzruszenia.

Clifton oburzał się na adwokata.

— On go sam głównie wystawił na ataki. Jeżeli Fox pójdzie dalej, podchwytnąc ten wątek, wtedy skończona sprawa. Biedny Artur może być winien, ale w każdym razie rzeczą jest jego adwokata starać się zrobić, co można, umiejętną obronę. Sam widzisz — on się z tem nie kryje — że już nie liczy na Moffeta. Ciekaw też jestem, kto mu poradził wziąć Moffeta. Ja sam nigdy go wysoko nie ceniłem. On wygrywa swoje sprawy, ale...

— On wygra i tę — szepnąłem.

Clifton drgnął, przyjrzał mi się uważnie, trochę pobladł — zdaje się, że i ja bardzo byłem blady — ale nie postawił pytania, które mu się widocznie cisnęło na usta.

— Jest metoda w szaleństwie tego człowieka — mówiłem dalej chmurno. — On musiał znaleźć jakiś dowód, z którym się przed własnym klientem ukrywa. Przynajmniej lękam się, czy tak nie jest. Musimy być przygotowani na wszelakie niespodzianki.

Tu, widząc przestrasz Cliftona, dodałem:

— Mam wrażenie, jak gdybym i ja także, nie sam Artur tylko, stał przed sądem. Naturalnie obawiam się wszystkiego, czego nie rozumiem.

Clifton ściągnął brwi. Byliśmy zupełnie sami. Nachylił się ku mnie i dotknął mego ramienia.

— Elwoodzie — rzekł — nie byłeś ze mną zupełnie szczery.

Uśmiechnąłem się. A tyle w mem sercu było bólu i gorczy, że i ten uśmiech bolesny i gorzki być musiał.

— Masz prawo wyrzucać mi to — rzekłem — jednak niezupełnie. Powiedziałem ci szczerą prawdę w kwestyi zasadniczej. Możesz w to wierzyć. Nie jestem winien śmierci Adeli, o ile niewinnym zupełnie może być człowiek, który ją i jej bliskich wtrącił w taką nieszczęśliwą, że śmierć jej dopiero kres położyć mógł.

— Będę w to wierzył — szepnął — muszę w to wierzyć.

I już nazawsze — poczułem to — porzucił wszelką wątpliwość.

Odetchnąłem lżej. Tak bliski byłem wyjawienia mej tajemnicy...

Powróciliśmy do sali, pełnej już milczącego a ciekawego tłumu. Była też Ella i jej rodzice, było i wielu innych znajomych i przyjaciół oskarżonego i jego rodziny.

On sam miał znowu ten uparty i zacięty wyraz, z którym wyglądał najgorzej. Trzymał się śmiało, nieledwie zuchwale, ale w tej jego śmiałości było coś, co mówiło mi, że z rozmowy z adwokatem swym nie wyniósł zachęty, ani pociechy.

Gdy zajął miejsce swoje, oczekując przesłuchania ze strony prokuratora, zaległo na sali uroczyste milczenie.

Mr. Fox surowo a spiesźnie przystąpił do ataku.

— Czy w nocy drugiego grudnia po raz pierwszy wogóle odwiedziłeś pan piwnicę klubową?

— Nie; już przedtem raz tam zaglądałem. Ale ja zawsze płaciłem za to, co wziąłem — dorzucił dumnie.

— Proszę tylko o ścisłe odpowiedzi, panie Cumberland. Wszystko inne jest zbędne.

Artur zmarszczył się, ale tylko na chwilę i z nie-zrównaną obojętnością odpowiadał dalej.

— Więc znałeś pan już drogę?

— Doskonale.

— A zamek?

— O tyle, że nie sprawiało mi trudności otworzyć go.

— Jak pan sądzi, ile czasu zabrało panu wejście do domu i wydobyć tych butelek?

— Nie umiem tego powiedzieć. Nie mogę tego wiedzieć. Nie przyszło mi na myśl spojrzeć na zegarek.

— Nie spojrzawszy pan, wychodząc? Nie spojrzawszy pan, idąc przez Cuthbert Road?

— Ani wtedy.

— Ale pan wie, kiedy pan opuścił budynek klubowy, wracając?

— O tyle tylko, że wiem, iż jeszcze wtedy śnieg nie zaczął padać. Mówiono mi potem, że pierwsze płatki śniegu zaczęły tej nocy sypać dziesięć minut przed jedenastą. Znajdowałem się wtedy na terenach golfowych. Może pan podług tego czas obliczyć. Bardzo przepraszam — dodał z pewną irytacją, widząc, że mr. Fox się zmarszczył — zapomniałem, co pan zalecił.

Mr. Fox uśmiechnął się kwaskowo, pytając dalej:

— W którym miejscu na terenach golfowych? Bo przecież pamięta pan, że te tereny są rozległe?

— Mierzą sześćset łokci od pierwszego kółka do trzeciej dziury, która jest najbliższą ulicą Cuthbert

Road — wyszczególniał Artur. — Ja byłem... nie, nie umiem dokładnie powiedzieć, gdzie wtedy byłem. W każdym razie dosyć daleko do domu. Śnieg bardzo gwałtownie padał. Była chwila, że nie widziałem drogi.

— Jakto, nie widziałeś pan drogi?

— Śnieg mi sypał w oczy.

— Kiedy pan szedł przez tereny?

— Tak, panie prokuratorze, kiedy szedłem przez tereny.

— Ależ zawierucha szła z zachodu. Powinna była panu wiać w plecy.

— Czy w plecy, czy w twarz, dość że mi przeszkadzała. Nie mogłem iść tak prędko, jak chciałem.

Pan Fox spojrzał na przysięgłych. Czy oni też pamiętali świadectwo gospodarza zajazdu, że paltot pana Cumberlanda pokryty był grubą warstwą śniegu, zarówno z przodu, jak z tyłu? Zmiałkował widocznie, że pamiętają, gdyż zaraz ciągnął dalej:

— Pan zna dobrze te tereny? Przechodziłeś pan przez nie często?

— Tak, ja tam grywam golfa przez całe lato.

— Nie chodzi mi o to, kiedy pan tam grywasz. Pytam, czy pan przechodziłeś tamtędy kiedy do Cuthbert Road?

— Owszem, przechodziłem.

— W czasie zawieruchy?

— Nie, nie w czasie zawieruchy.

— A wtedy ile czasu potrzebowałeś pan, żeby przejść z pod Szumiących Sosen na Cuthbert Road?

Mr. Moffet podskoczył, ale obwiniony zdążył odpowiedzieć, zanim on się wniósł.

— Dokładnie piętnastu minut.

— Skąd pan to wiesz tak dokładnie?

— Bo wtedy spojrzałem na zegarek. Miałem się z kimś spotkać w mieście i miałem tylko dwadzieścia minut czasu na drogę. I nie spóźniłem się.

Rzetelny do gruntu. Podobał mi się ten chłopak. Ale ta szczerza, lecz nie przezorna odpowiedź nie podobała się jego obrońcy, który byłby był niezawodnie wolał ogólniejszą i mniej ścisłą. Jednakże stało się. Moffet słuchał spokojnie, jak prokurator w dalszym ciągu wydobywał z obwinionego przyznanie, że dobrze chodził, że się nie lękał zadymek i że nieraz, pod wiatr, czy z wiatrem, przechodził dwa razy większą odległość w niecałe pół godziny. Otóż ponieważ tym razem wiatr dął mu w plecy, a on się spieszył, musiał się oczywiście tłumaczyć z tego, w jaki sposób użył zbywających czterdziestu minut, zanim wszedł do zajazdu o wpół do dwunastej.

— Czy może zatrzymywał się pan po drodze, żeby wypić łyk tego wina? — zapytał prokurator.

Świadectwo gospodarza zajazdu brzmiało wyraźnie, że sam odkorkowywał butelkę, którą gość przyniósł ze sobą.

— Nie — odpowiedział Artur. — Nie piłem nic. Tak byłem zamyślony, że przeszedłem aż na drugi koniec przez całą długość terenów.

— Wśród tej oślepiającej zadymki?

— Tak, wśród zadymki. Co mi szkodziła zadymka? Nie rozumiałem, co znaczy, że moja siostra znajduje się w klubie. To mi się nie podobało. Chwilami miałem pokusę zawrócić.

— Więc dlaczego nie zawróciłeś pan?

— Ponieważ... to właśnie, że postąpiłem jak ostatni dureń, a nie jak brat... ponieważ ten zajazd na Cuthbert Road ciągnął mnie pomimowoli... ponieważ...

Tu przerwał i po raz pierwszy dnia tego wzruszenie odbiło się na jego twarzy.

— Nie wiedziałem, co się tam dzieje, bo gdybym wiedział, byłbym wrócił! — wybuchnął, spojrzawszy na swego obrońcę.

Znowu sympatya wszystkich zwróciła się w jego stronę. Mr. Fox mało zyskał na tej pierwszej próbie. Zrozumiał to, zdaje się i zwrócił swój atak w punkt napozór słabszy.

— Usłyszawszy głos siostry w domu klubowym, jak pan sobie wyobraziłeś, że którądy ona weszła?

— Zapomocą kluczy, które Ranelagh zostawił u nas w domu.

— Czy, odłączając jeden klucz od całego pęku kluczy, czyniłeś pan to z myślą, że siostra będzie chciała zrobić z tych kluczy użytek?

— Nie, nie pomyślałem o tem wcale. Ja wogóle o niej nawet nie pomyślałem.

— Wziąłeś pan jeden klucz, pozostawiając resztę?

— Tak było, jak pan mówi.

— Czy działo się to przed włożeniem paltota, czy po włożeniu paltota?

— Nie pamiętam dobrze; zdaje mi się, że po. Tak, miałem już wtedy paltot na sobie, gdyż przypominam sobie, że zajęło mi to sporo czasu, zanim odpiąwszy paltot, dostałem się do kieszeni.

— Panie Cumberland, bądź pan łaskaw dobrze